



■ Stosunki amerykańsko-niemieckie z perspektywy 70 lat

Jadwiga Kiwerska

Przypadająca w tym roku siedemdziesiąta rocznica utworzenia Republiki Federalnej Niemiec jest okazją do zbilansowania relacji amerykańsko-niemieckich, a także zarysowania ich perspektyw. Nie ma bowiem przesady w stwierdzeniu, że Republikę Federalną, od momentu jej powstania we wrześniu 1949 r., łączył ze Stanami Zjednoczonymi wyjątkowy układ wynikający choćby z tego, jak wiele Niemcy Zachodnie zawdzięczały amerykańskiemu sojusznikowi i jak silna była wspólnota interesów Waszyngtonu i Bonn.

Odbudowa państwowości zachodnioniemieckiej dokonała się dzięki pomocy USA, zresztą w formie liberalnej demokracji, przygotowanej i niemal narzuconej przez Amerykanów - *Grundgesetz* była pisana „pod dyktando” Waszyngtonu. To z Ameryki nadeszła ogromna pomoc gospodarcza – Niemcy Zachodnie w ramach tylko planu Marshalla uzyskały wsparcie o wartości około 1,4 mld dol., oprócz tego były inne formy amerykańskiej pomocy finansowej i materialnej. Stanowiło to jeden z czynników składających się na niemiecki cud gospodarczy.

Liczyło się również polityczne poparcie Waszyngtonu, jakże ważne dla pokonanego i wycieńczonego narodu, podzielonego i zepchniętego na margines społeczności międzynarodowej. To przy amerykańskim poręczeniu i wsparciu budowano i umacniano demokrację w Niemczech Zachodnich. Dzięki temu stopniowo zyskiwały one wiarygodność i mogły coraz śmielej działać na arenie międzynarodowej.

To USA przez cały okres zimnej wojny gwarantowały Republice Federalnej bezpieczeństwo, lokalizując na jej terytorium swoje główne bazy i znaczące siły wojskowe. Zresztą gwarancje amerykańskie obejmowały całą Europę Zachodnią, jednak waga tego czynnika w przypadku RFN była wyjątkowa. Ujmując rzecz geopolitycznie, podział Niemiec był odzwierciedleniem podziału Europy i utrzymanie tej sytuacji wiązało się z rywalizacją

Redakcja:

Radosław Grodzki
Jacek Kubera
(redaktor naczelny)
Piotr Kubiak
Krzysztof Malinowski

Korekta:

Hanna Różanek

Nr 25(399)/2019
29.07.19

ISSN 2450-5080

Biuletyny dostępne
także dzięki:
NEWSLETTER IZ
FACEBOOK
SCRIBD
LINKEDIN
TWITTER

zimnowojenną. Dlatego RFN służyła amerykańskiej strategii jako tama przeciwko ewentualnym imperialnym zakusom Związku Radzieckiego wobec Europy Zachodniej. Ale też chodziło o trzymanie w szachu Bonn za pomocą integracyjnych struktur sojuszniczych. Przecież włączenie Niemiec Zachodnich do NATO w 1955 r. miało stanowić - w zamyśle Amerykanów - najlepsze zabezpieczenie przed reaktywacją zagrożenia niemieckiego (słynna formuła Hastingsa Lionela Ismaya, pierwszego sekretarza generalnego NATO: *keep Russians out, Germans down and Americans in*).

Przyczyniając się do integracji RFN z zachodnim systemem sojuszy, działając na rzecz umocnienia w niej liberalnej demokracji, wreszcie zakładając ograniczoną i przez to umniejszoną rolę RFN w Sojuszu Północnoatlantyckim, czemu zresztą służyły wewnątrzniemieckie hamulce w zakresie zaangażowania Bundeswehry *out of area*, Amerykanie przesądzieli o nowym, pozytywnym wymiarze kwestii niemieckiej w historii naszego kontynentu. Zamiast być zagrożeniem dla bezpieczeństwa Europy - jak to w przeszłości bywało w przypadku silnego i ambitnego, położonego w centrum kontynentu, państwa - Niemcy Zachodnie stały się spolegliwym i lojalnym elementem układu transatlantyckiego, a ścisłe relacje amerykańsko-niemieckie postrzegane były jako czynnik jego umocnienia.

Po zjednoczeniu i wraz z odzyskaniem przez RFN pełnej suwerenności w stosunkach z USA pojawiły się nowe elementy, dowodzące większej asertywności Bonn/Berlina wobec amerykańskich oczekiwań. Zjednoczone Niemcy w relacjach z USA potrafiły silniej artykułować własne interesy, a nawet demonstrować sprzeczny z amerykańskim punktem widzenia. W latach 2002-2003, na tle amerykańskiej interwencji zbrojnej w Iraku, doszło nawet do „zatrucia” wzajemnych stosunków, gdy to kanclerz Gerhard Schröder wprowadził akcenty antyamerykańskie do walki politycznej i uczynił z prezydenta George’a W. Busha zagrożenie dla ładu międzynarodowego.

Mimo różnych turbulencji wywołanych nowymi uwarunkowaniami relacji amerykańsko-niemieckich, świadomość znaczenia bliskiego sojuszu przeważała. Nie tylko przezwyciężono kryzys „zatrutych stosunków”, ale nawet wstrząs ten bardziej niż szkodzić wzajemnym relacjom, pomógł wypracować ich nowy charakter - stosunki USA z Niemcami zaczęły się rozwijać w kierunku zrównoważonego partnerstwa. Nie znaczy to, że nie było punktów spornych wynikających z różnicy interesów gospodarczych i handlowych, podejścia do zobowiązań militarnych czy skali odpowiedzialności za bezpieczeństwo. Niewzruszone pozostały jednak fundamenty wzajemnych relacji, spajane wspólnotą doświadczeń, wartości i celów. Po obu stronach silna była też świadomość znaczenia wzajemnych relacji bilateralnych nie tylko jako ważnego filaru układu transatlantyckiego, ale także źródła własnych korzyści zarówno Niemiec, jak i USA.

Trudno było nie dostrzec rosnącej rangi Niemiec w wymiarze europejskim i globalnym, co czyniło Berlin i osobiście kanclerz Angelę Merkel cennym dla administracji Baracka Obamy partnerem w rozwiązywaniu problemów międzynarodowych. Niemcy i kanclerz Merkel pełniły więc rolę owego „jednego telefonu do Europy”, o którym swego czasu mówił Henry Kissinger i pod który można by zadzwonić z Białego Domu w razie potrzeby. Wspierając działania Obamy wymierzone w Rosję i doprowadzając do zastosowania wobec niej unijnych sankcji, kanclerz Niemiec sprawdziła się jako skuteczny gracz w Unii Europejskiej i najważniejszy sojusznik Obamy. W rewanżu prezydent wsparł moralnie jej politykę otwartych drzwi wobec uchodźców, przekonując, że znalazła

się ona „po właściwej stronie historii”. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że Merkel nie miała konkurenta w relacjach z prezydentem Obamą i w stosunkach amerykańsko-niemieckich zbudowano układ *stricte* partnerski, a nawet zrealizowano wizję George’a H.W. Busha z 1989 r. o „partnerstwie w przywództwie”.

Na tym tle prezydentura Donalda Trumpa, burząc dotychczasową płaszczyznę porozumienia tworzoną przez wspólne zasady i priorytety, a także wzajemną wiarygodność i odpowiedzialność, stanowi wyraźną cezurę w relacjach amerykańsko-niemieckich. Nie umniejszając odpowiedzialności Berlina za kryzys w stosunkach amerykańsko-niemieckich, to jednak główną jego przyczyną była zmiana podejścia Trumpa do Europy, wynikająca z jego generalnej strategii w relacjach międzynarodowych zawierającej się w hasło „America First”. Oznacza to, że głównym miernikiem stosunków ze światem zewnętrznym, w tym także z sojusznikami europejskimi, stał się wąsko pojmowany interes amerykański i bilans ekonomiczny we wzajemnych relacjach. Takie transakcyjne podejście przekreśliło dotąd obowiązującą wspaniałomyślną zasadę, według której USA angażowały swój potencjał dla obrony zasad demokracji, zapewnienia stabilizacji i bezpieczeństwa sojusznikom w myśl dewizy „pay any price”. Wspólne wartości czy podjęte wcześniej wzajemne zobowiązania, stanowiące imperatyw układu transatlantyckiego, straciły znaczenie. Teraz podejście do relacji sojuszniczych oparte jest głównie na rachunku ekonomicznym, a ten sytuował UE w roli groźnego konkurenta gospodarczego i handlowego Ameryki, zaś z NATO czynił obciążenie dla jej budżetu, co znaczyło, że amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa przestały być aksjomatem. Zresztą Trump nie krył awersji do sojuszy wielostronnych i porozumień międzynarodowych, ograniczających - jego zdaniem - Amerykę i wykorzystujących jej zasoby. Brak szacunku dla istniejącego porządku międzynarodowego i obowiązujących w nim zasad wiódł do podważenia umów, których sygnatariuszem były USA, co zachwiało zaufaniem do przewidywalności i wiarygodności polityki amerykańskiej.

W takim kontekście trzeba widzieć kryzys w relacjach amerykańsko-niemieckich, najgłębszy od powstania RFN. Ma on podłoże polityczne, gospodarcze, a nawet psychologiczne. Odrzucając umowy międzynarodowe, lekceważąc własne zobowiązania polityczne i wojskowe, forsując działania protekcjonistyczne i jednostronne, administracja Trumpa naruszała ważny dla Niemiec porządek multilateralny i liberalny, zasady i wartości szczególnie cenione przez Niemcy, bo korzystne dla ich interesów i rangi międzynarodowej. Zresztą to właśnie Niemcy i ich pozycja w układzie transatlantyckim wydawały się najbardziej zagrożone transakcyjnym podejściem prezydenta Trumpa do relacji międzynarodowych. W wielu segmentach nowej amerykańskiej strategii Niemcy sytuowały się na przeciwległym biegunie poglądów i działań.

Ze względu na sposób definiowania przez Trumpa interesów i priorytetów, gdzie nie liczyły się zasady, tylko własne korzyści, a przede wszystkim z powodu jego stosunku do UE, uważanej za zagrożenie dla interesów amerykańskich, na pierwszej linii strzału musiały znaleźć się Niemcy. Jako najsilniejsze państwo UE zostały uznane przez obecnego prezydenta za groźnego konkurenta gospodarczego i nieuczciwego kontrahenta handlowego. To, co poprzednio było atutem Niemiec w relacjach z USA - rola i pozycja w UE, teraz przerodziło się w ich obciążenie. Dlatego Berlin stał się głównym adresatem krytyki i żądań płynących z Waszyngtonu do Europy.

Czy był to atak bezpośredni, jak formułowane kategorycznie zarzuty o niewystarczającym wkładzie Niemiec w zasoby obronne NATO albo traktowanie również jako przygany dodatniego bilansu strony niemieckiej w handlu z USA, czy podejmowanie decyzji uderzających w interesy niemieckie (np. wprowadzenie cel na niektóre towary z UE) lub sprzecznych ze stanowiskiem Niemiec i innych stolic europejskich (np. odstąpienie od porozumienia klimatycznego oraz wypowiedzenie porozumienia nuklearnego z Iranem), to efektem w każdym przypadku było zaognienie stosunków z Berlinem.

Po pierwsze, jeśli Trump wykorzystywał w polityce handlowej protekcjonizm, było to groźne nie tylko dla Chin, ale także dla Niemiec, które opierają swą gospodarkę na wolnym handlu i dla których rynek amerykański stanowił bardzo ważny kierunek eksportu. Ponieważ nadwyżka handlowa Niemiec w relacjach z USA plasowała je na trzecim miejscu pod względem dodatniego bilansu po Chinach i Japonii, dlatego znalazły się u Trumpa na czarnej liście „nieuczciwych” kontrahentów, którzy więcej w Ameryce sprzedają niż kupują. Objęcie przez Trumpa wyższymi cenami stali i aluminium uderzało więc bezpośrednio w Niemcy, siódmego w świecie producenta stali. W takiej sytuacji wojna handlowa USA z UE toczyła się kosztem przede wszystkim Niemiec.

Po drugie, nie odmawiając Amerykanom racji, gdy od dłuższego już czasu domagali się od Niemiec większego, odpowiadającego ich potencjałowi, wkładu we wspólną obronę, to jednak kategoryczność i konsekwencja formułowanych przez Trumpa żądań pod adresem Berlina była bezprecedensowa. Nie liczył się fakt, że budżet obronny Niemiec w 2019 r. osiągnął poziom 44,9 mld euro, a w 2020 r. ma wynieść 45,1 mld euro, czyli o 40% więcej niż w 2014 r. Raczej podnoszono argument, że Niemcy nie chcą spełnić zadeklarowanego w 2014 r. przez wszystkie państwa członkowskie NATO zobowiązania osiągnięcia poziomu 2% PKB wydatków na obronę do 2024 r. Nie dostrzegano też innych wysiłków Niemiec – ich zaangażowania w obronę zbiorową NATO czy pomoc rozwojową, której celem jest stabilizowanie sytuacji w zapalnych regionach świata.

Po trzecie, równie bezprecedensowa była siła ataku wymierzonego w kanclerz Merkel. Gdy G. W. Bush cenił ją za proamerykańską postawę w czasie kryzysu irackiego, a Obama nazwał swym najbardziej godnym zaufania partnerem, to Trump nie szczędził szefowej niemieckiego rządu ostrych słów. Częste ataki dotyczące jej polityki migracyjnej czy kwestii gospodarczych lub bezpieczeństwa, sugerowały, że intencją amerykańskiego prezydenta jest osłabienie politycznej pozycji niemieckiej kanclerz, uosabiającej te zasady współpracy międzynarodowej, które Trump odrzuca lub lekceważy. I nie zmieniło tego okazjonalne łagodzenie tonu jego wypowiedzi. Merkel, która zresztą wskutek zawirowań wewnętrzniemieckich osłabła politycznie, straciła w relacjach z USA status bliskiego partnera, jakim się wcześniej cieszyła. Zamiast więc „partnerstwa w przywództwie”, osiągniętego za Obamy, pojawiła się niechęć wobec Berlina i nieustająca skłonność Trumpa do antagonizowania wzajemnych stosunków, jakby w przekonaniu, że potencjał Niemiec szkodzi interesom amerykańskim.

Merkel natomiast czyniła wiele, aby odwrócić ten niechętny i niesprzyjający trend w polityce amerykańskiej. W jej zaangażowaniu rolę grała zarówno dbałość o niemieckie interesy gospodarcze i bezpieczeństwa, zagrożone działaniami Trumpa,

jak i troska o kondycję układu transatlantyckiego, osłabioną strategią „America First”. Niewątpliwie Merkel nie zmieniła zdania co do znaczenia więzi transatlantyckich, z uznaniem też wypowiedała się o roli USA jako gwarancie bezpieczeństwa Niemiec. I jakkolwiek to ona – po swoich pierwszych doświadczeniach ze spotkań z Trumpem – sformułowała w maju 2017 r. tezę, że: „Czasy, gdy mogliśmy całkowicie oprzeć się na innych [w domyśle: Amerykanach], dobiegły końca. My, Europejczycy musimy wziąć nasze sprawy w swoje ręce”, to jednak mitygowała swoich ministrów postulujących budowę „post-amerykańskiej” Europy i nie podejmowała dyskusji na temat konieczności tworzenia przez Niemcy i UE przeciwwagi dla USA. A takie i podobne postulaty nierzadko padają w publicznym dyskursie, jaki toczą niemieckie elity polityczne i intelektualne, sprowokowane działaniami administracji Trumpa.

Trudno jednak nie przyznać, że w obecnej sytuacji bezpieczeństwo Niemiec (i Europy) uzależnione jest od tego, czy USA zechcą dalej pełnić rolę jego gwaranta. Długo jeszcze Europa nie będzie w stanie obronić się sama. Zresztą poza retoryką Trumpa i jego kontrowersyjnym zachowaniem, w sferze faktów administracja amerykańska realizuje wobec Europy swe zobowiązania w zakresie bezpieczeństwa, szczególnie na wschodniej flance NATO. Ambitną wizję budowania „post-amerykańskiej” Europy należy więc skontrolować stwierdzeniem, że pozostaje ona na razie tylko wyzwaniem, zarówno dla Niemiec, jak i innych sojuszników europejskich i lepiej, żeby nie musiała być realizowana.

Nie można jednak wykluczyć, że w nieodległej przyszłości, w atmosferze pogarszających się relacji amerykańsko-niemieckich, nastąpi zdecydowane dryfowanie Niemiec poza układ transatlantycki, w kierunku europejskich inicjatyw obronnych, które z założenia miałyby wzmacniać europejski filar NATO, a w rzeczywistości będą działać na rzecz budowy autonomicznych wobec USA zdolności obronnych Europy. Wówczas Berlin będzie z innej perspektywy spoglądał na Waszyngton, widząc w nim - podobnie jak obecna administracja oceniając Niemcy – głównie kontrahenta lub konkurenta „w biznesie”, a także destruktora ładu międzynarodowego.

Istnieje też duże prawdopodobieństwo, że przynajmniej w sferze retorycznej Niemcy jako najsilniejsze państwo członkowskie UE i „nieuczciwy” partner Ameryki w relacjach handlowych pozostaną obiektem ataku i oskarżeń ze strony prezydenta Trumpa. Biorąc zaś pod uwagę fakt, że eksport stanowi podstawę gospodarczego potencjału Niemiec, to spór wywołany protekcjonizmem obecnej administracji nie ustanie. Chociaż ostatnio temperatura sporu handlowego między USA a UE spadła, to jednak kontynuacji wojny handlowej wykluczyć nie można, z groźnymi konsekwencjami dla obu stron.

Gdyby więc w tym kierunku miały się rozwijać relacje na linii Waszyngton-Berlin, byłoby to przekreśleniem dorobku ostatnich 70 lat, gdy to z pożytkiem dla własnych interesów, ale i z korzyścią dla bezpieczeństwa Europy kształtowało się partnerstwo amerykańsko-niemieckie. Układ był bardziej lub mniej asymetryczny, strony w różnej skali angażowały swój potencjał, jednak zbudowany został on na fundamencie zasad, wzajemnego zaufania, amerykańskiej wspaniałomyślności i niemieckiej wiarygodności. Prezydentura Trumpa, odwołując się do hasła „America First”, dowiodła, że można te wartości zlekceważyć, liczy się bowiem wąsko pojmowany interes Ameryki, co nie znaczy, że np. niewystarczający udział Niemiec w *burden-sharing*



nie uzasadnia pretensji Amerykanów. W każdym razie pytanie o perspektywy dla relacji amerykańsko-niemieckich pozostaje otwarte.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytutu Zachodniego i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.